



ARKADUŚ MAREK ŚLESICKI

SKOWYT



Z gitarzystą grupy Skowyt rozmawiamy o punk rockowym buncie, sile przekazu artystycznego i mocy muzyki granej prosto, ale dobitnie
Tekst: Wojciech Wytrązek
Zdjęcia: Szymon Lorenc

Jakie były Twoje muzyczne początki?

Pierwszym moim instrumentem były cymbalki. Kiedy okazało się, że potrafię wygrywać na nich ze słuchu melodie, w prezencie komunistycznym dostałem organy elektryczne „Student”. U zakonniczy zaliczyłem kilka lekcji pianina, nauczyłem się grać oburącz i czytać nuty, oczywiście wszystko w prostych formach. Dźwięki się zgadzały, rytmika również, było sporo zabawy. Gitarą zainteresowałem się przypadkowo. Zanim się obejrzałem, należałem już do kościelniczego zespołu. To była późna podstawówka, czasy komunizmu – lekcje religii odbywały się w salkach parafialnych, a prowadzący je ksiądz był strasznie zaangażowany w walkę o niepodległość. Graliśmy na niedzielnych mszach „za ojczyznę”, kilka razy przygotowaliśmy odrębne programy poetycko-muzyczne, których oczywiście głównym motywem była wolność. Moim idolem był wtedy Jacek Kaczmarski. Wtedy zrozumia-

łem, że ważne jest nie tylko co się gra i jak, ale co się przekazuje. No i dynamika! W liceum razem z Gutkiem założyliśmy pierwszy zespół, graliśmy na gitarach akustycznych, bo nie było nas stać na nic innego. Nie było wtedy kasy na dobry sprzęt, ale była mega podjarka i nieograniczona fantazja. Pamiętam, że w kilkanaście dni razem rozpracowaliśmy płytę Hey „Ho”. To były strasznie fajne czasy! Pierwszą demówkę nagraliśmy u Dzikiego na Ursynowie w Sali Prób im. Taty, oczywiście na analogu. Ja miałem już Hohnera w kształcie Gibsona Les Paula (z którego sypały się wióry), Gutek szarpał się z zaadaptowaną na wersję leworęczną Luną 22, drugi gitarzysta Medyk wymiatał solówki na białym stracie Merlinie, a na wokalu autentycznie pierwsze kroki stawiał Michał Dziadosz (z późniejszego Iluzjonu). Skład na perkusji zamykał Galek, a wszystko to nazywało się EITZ. Niby nic nie miało prawa stroić i grać, ale stroiło i grało i dało się słuchać. Normalnie czad! (śmiech). Potem

były kolejne zespoły i projekty, długi epizod z kapelą Humbert Humbert, z którą nabrałem doświadczenia scenicznego, aż wreszcie znalazłem się w Skowycie.

Rozumiem, że genezą Skowytu jest bunt, czy tak?

Zdecydowanie! Twórczość Skowytu od początku jego istnienia stała w opozycji do wszystkiego. Pierwsze autorskie utwory trwały po 6-7 minut – teksty były poetyckie, a muzyka tworzyła przestrzeń i klimat, w którym można było dosłownie utonąć. Wiadomo było, że tak się nie gra, że to nie jest muzyka dla każdego, mimo wszystko Skowyt grał tak, bo tak! Od momentu kiedy pojawiłem się w zespole, utwory zaczęły się radykalnie skracać, a długie dźwięki ustąpiły pola szybkim riffom. Bunt, o który pytasz ukierunkował się na przekaz. Nasza postawa w dużej mierze wynika z tego gdzie i jak dorastaliśmy. Ale również została ukształtowana przez artystów, których słuchaliśmy za



WIEMY PRZECIW CZEMU
SIĘ BUNTUJEMY, WIEMY
GDZIE I JAK UDERZAĆ,
WIEMY, ŻE MAMY WPŁYW
NA RZECZYWISTOŚĆ.
SKOWYT JEST KAPEŁĄ,
KTÓRA NIE PŁYNIE
Z NURTEM, ALE POD PRĄD



młodu. Ługi ceni twórczość Boba Dylana i rdzennego bluesa, Sikor lubi klimaty lat 60 i 70., Janek ma metalową, nieskrępowaną duszę. W naszym przypadku punk to świadomość – wiemy przeciw czemu się buntujemy, wiemy gdzie i jak uderzać, wiemy, że mamy wpływ na rzeczywistość. Skowyt jest kapelą, która nie płynie z nurtem, ale pod prąd.

Świadczą o tym wasze dwie płyty, które w pierwszej kolejności zwróciły moją uwagę tekstami. Bunt Skowytu wydaje się być przeciwko czemuś i nie sprawia wrażenia etykiety dolepionej do zespołu grającego punk rocka.

Jednak przez długi czas byliśmy właśnie tak odbierani. Wielu dziennikarzy (również znanych i cenionych) nie poznało się na nas. Krytykowano nas za wszystko, włącznie z koncertami, które za cholerę nie przystawały do szablonu „jesteście kochani” i „wszystkie rączki klaszczą”. Potrzebowaliśmy masy czasu, żeby zjednywać sobie słuchaczy i krytyków, przelamywać wydumane stereotypy. Za teksty w głównej mierze odpowiedzialny jest Ługi, choć również i mi zdarza się od czasu do czasu coś napisać. Ja do punk rocka dochodziłem

od dupy strony – Kaczmarek, potem popularne w latach 80. kapele rockowe typu Europe czy Bon Jovi, potem bardziej ambitne historie w postaci Queen czy Genesis, hard-rock, metal. Wtedy wybuchło Seattle – Pearl Jam, Alice In Chains, Nirvana. Myślę, że dopiero w tym miejscu w moim życiu pojawił się punk. W którymś momencie zaczęło mi zależeć na takiej estetyce i takim przekazie. Chciałem być szczerzy i autentyczny. I grać energetycznie! Szybkie utwory potrzebują trafionych tekstów. Jeśli połączymy do tego nasze charaktery, to tworzy się mieszanka, która niczym nitrogliceryna wybuchą przy choćby najmniejszym wstrząsie! Tego nie da się wymyślić – to się po prostu dzieje samoczynnie.

Jak przekłada się to na koncerty?

Koncerty Skowytu są nieprzewidywalne, spontaniczne – chyba nigdy nie udało nam się zagrać w niezmienionej formie set-listy. Serio! Ten spontan ma swoje plusy i minusy, ale zdecydowanie przeważa w tym forma autentyczności. W ogóle mówiąc o koncertowaniu w Polsce należy spojrzeć na wszystko z nieco innej perspektywy. Turlasz się po polskich drogach kilka godzin,

przyjeżdżasz do klubu, w którym rzekomo wszystko jest, a potem okazuje się, że odsłuch nie działa, albo że są dwa statywy, choć w riderze technicznym stoi jak wół, że trzy osoby śpiewają, akustyk jest narąbany, albo nadpobudliwy organizator drze mordę na cały klub, że spóźniłeś się 3 minuty i tak dalej. Coraz rzadziej, ale takie historie naprawdę się jeszcze zdarzają. Wydaje się, że jest jak zwykle „pod górkę”, ale wtedy wychodzimy na scenę i zaczynamy grać. Czerpiemy z tego przyjemność bez względu na to, czy na koncert przyszło 50 czy 150 osób. Gramy, bo ktoś przyszedł – szanujemy to, że miał ochotę nas zobaczyć i nawet jeżeli słuchaczy jest mało, staramy się dać im to, co najlepsze. Nie ma koncertów mniej zaangażowanych – zawsze gramy na maksa. Tylko wtedy ma to sens.

Treść zawarta na płytach wydaje się być listą problemów współczesnego społeczeństwa, tytuł „Achtung, Polen!” też jest jakimś ostrzeżeniem.

Pierwsza płyta w zamyśle miała być garażowa, brudna i niepokojna. I rzeczywiście taka była. Teksty są bardzo mocne w treści i formie. Poruszyliśmy

wiele wątków, ale jej motywem przewodnim była wolność pojmowana w różnych kontekstach. Z wyjątkiem Antyradia i paru odważnych dziennikarzy w innych rozgłoszeniach, którzy zrozumieli o co nam chodzi, pozostałe radiostacje się na nas wypięły ze względu na przekaz. „Achtung, Polen!” to przekrój przez polskie społeczeństwo – niedziela, na obiad rosół, a rodzina przy jednym stole podzielona na kilka obozów. „Jezus Chrystus Królem Polski” zwraca uwagę, że politykę nagina się do religii i na odwrót. „Ona jest nazi” to przewrotny utwór o miłości, która zwalczy każdą ideologię. „Burluz” i „Strzelby” poruszają wątek korpo-niewolnictwa i wyścigu szczurów. „Pokolenie Chuj” natomiast to utwór o wyrolowanym pokoleniu, które ma dość przepychania z jednego totalitaryzmu w drugi. Punk rock służy temu, żeby poruszać tematy niepopularne, czy wręcz odrażające, oczywiście robiąc to z jakimś pomysłem. Przed nagraniem „Achtung, Polen!” powiedzieliśmy sobie, że jeśli nagramy barachło, to płyta pójdzie do śmieci i nie puścimy tego w świat. To drapieźny i przesadzony album, ale taki właśnie miał być. Nie należy się

TWÓRCZOŚĆ SKOWYTU OD POCZĄTKU JEGO ISTNIENIA STAŁA W OPOZYCJI DO WSZYSTKIEGO

”

bać i tworzyć piosenek tylko pod radio, programy telewizyjne i festyny – 14. piosenka o miłości albo 90. ballada o rozstaniu wychodzą już wszystkim bokiem.

Wasze płyty brzmią surowo, ale są bardzo dobrze zmiksowane – pod względem produkcyjnym to zupełnie inny poziom niż dawne nagrania punkowe.

Za brzmienie obu płyt są odpowiedzialni Robert i Magda Szredniczy z warszawskiego Serakos Studio, w którym nagrywał również m.in. Riverside, Farben Lehre, Komety, Partia. „Corrida” miała odróżnić się od debiutu. Długo rozmawialiśmy o brzmieniach i przygotowywaliśmy je pod kątem kolejnych kawałków – Robert jest multiinstrumentalistą więc w pełni rozumie temat zarówno od strony muzyka jak również realizatora. Miałem możliwość pracy w innych cenionych studiach, ale równie twórczą i partnerską atmosferę co w Serakosie, odnalazłem tylko w łódzkim Tonn Studio.

Jak osiągniecie konsensus w sen-

sie artystycznym?

Ten, kto po raz pierwszy porównał zespół do małżeństwa miał cholerną rację! Myślę, że nie odbiegamy mocno od polskiej normy. Bywają ciche dni, kiedy są totalne tarcia i tworzą się sprzeczamy, ale są też lepsze, gdy odpalimy piec i od razu wpadła numer. Takim przykładem jest chociażby „Playboy” – utwór, który zaczął się od „brzdąkania”. Sikor wstawił mantryczny bas, a Ługi na oczekaniu zaczął pisać refleksyjno-wspominkowy tekst. Czyli znowu: luźne stringi i pełen spontan. Znam zespoły, które wybierają pięć najpopularniejszych płyt na rynku, słuchają ich w kółko, a potem na próbach „lepia” muzycznego trolla. Jeśli dobrze nadstawisz ucha, to spośród polskich kapel (zwłaszcza rockowego „topu”), bez trudu wyłapiesz kto gra z serca, a kto z wyrachowaniem produkuje „hity”.

Brzmienia Twoich gitar nie są oczywiste i oklepane – jak do nich doszedłeś?

Moim ulubionym gitarzystą

był (i jest) Nuno Bettencourt z Extreme, więc zapragnąłem mieć gitarę Washburn, najlepiej N4, ale w latach 90. w moim zasięgu był tylko koreański N2, na którym ćwiczyłem po kilka godzin dziennie. W pewnym momencie stwierdziłem, że bardziej jara mnie rytmika i aranżowanie niż dzielenie 300 dźwięków na sekundę. Na początku była tylko gitara, palce i wzmacniacz. Mój serdeczny przyjaciel oddał mi swój „trytykowanie wieczyste” 100-watowe combo Marshall JCM 900, który do dziś w pełni odpowiada moje brzmieniowe potrzeby. Zupełnie niedawno wymieniliśmy w nim lampy i moja antość do niego zapłonęła na nowo. Pod mostem zamontowałem humbucker DiMarzio X2N. Nagrywając pierwszego singla „Jest nas dwóch” postawiłem na bardziej vintage-owy klimat. Utwór pojawił się w Antyradiu, i bardzo się spodobał, więc poszedłem dalej w tym kierunku. W N2 korzystam z opcji wyłączenia jednej cewki humbuckera (wspomnianego X2N). Przez Internet poznałem Pawła Spry-

szaka z Jean Paul Electronics, który zrobił dla mnie kompresor, a potem booster. Na wzmacniaczu ustawiam bardzo delikatny crunch, który zostaje podbity gainem z kompresora. Booster natomiast służy za dopalacz. To było brzmienie, które tworzyłem pod to konkretne wosło. Od niedawna mam Fendera Stratocastera model American Special z 2007 roku, do której wciąż się przyzwyczajam i którego wciąż się uczę. Trochę przeszkadza mi środkowy przetwornik, bo w tym miejscu naturalnie pracuje moja prawa ręka więc czasem się z nim jeszcze zderzam. Fender to jednak inna filozofia gry i inne brzmienie, które wymaga weryfikowania ustawień. Ciekawostką jest fakt, że nowa płyta była nagrana w głównej mierze na dwóch Fenderach (drugie wosło to American Standard Stratocaster), które subtelnie różniły się brzmieniem – dzięki temu, w wyniku nałożenia śladów tych gitar na płycie pojawił się naturalny chorus.

Grasz oszczędnie, ale dobitnie,



do tego masz zupełnie nie punkowo – czyli wysoko – zawieszoną gitarę.

Po jakimś koncercie ktoś napisał, że jestem uboższą wersją Toma Morello (*śmiech*). Jest to dla mnie komplement, bo bardzo cenię jego twórczość i styl (po Nuno to dla mnie gitarzysta nr 2). Gitarę trzymam w ten sposób ze względu na komfort pracy prawej ręki, co nie jest możliwe przy wieszaniu jej nisko na jajach. Atak z prawej ręki jest dzięki temu pewniejszy i mocniejszy, a ręka dużo sprawniej pracuje. Ludzie często o to pytają po koncertach i cieszą się, że niektórzy bardziej doceniają prawą rękę niż lewą. Ilekroć wychodzę z koncertu, na którym gitarzysta wylewał kaskady dźwięków ze swojego instrumentu, mam wrażenie jakby wszystko, całe wrażenie, zostało w sali. Nam zależy, żeby ludzie wychodzili naładowani energią i pamiętali koncert dłużej, także przez skakanie czy siniaki od pogo. Ale skoro są na świecie gitarzyści, którzy robią kariery grając na drewnianych pudełkach po cygarach zamiast gitar, to nie czuję się wybitnie upośledzony w kwestii trzymania gitary. (*śmiech*)

Kolejnym ważnym krokiem była druga płyta zatytułowana „Corrida”.

Stwierdziliśmy, że nie ma sensu nagrywać drugiej takiej samej płyty. Osobiście bardzo przeżyłem nagranie drugiego albumu. Trafił mnie „syndrom nr 2” – gdy robi się coś po raz drugi: druga książka, drugi film – stajesz się bardziej wrażliwy na głosy otoczenia. Przy pierwszej każdy mógł powiedzieć, że jest fajna albo nie, i miałem na to wywaloną kielbachę. Przy drugiej ta pierwsza już jakoś ciążyła. „Co oni wymyślą?”, „Jak to zagrają?”, „O czym będą utwory?”. Pierwszymi recenzentami „Corridy” byli jurorzy eliminacji Przystanku Woodstock (utwory wysyłał się w trakcie otwartej sesji nagraniowej). Po-

tem był koncert półfinałowy, na którym zagrałiśmy prawie same nowe numery. Po tym występie pytałem wszystkich o wrażenia. Upłynęło już trochę czasu, zagrałiśmy kilka dobrych koncertów, pojawiły się pierwsze recenzje – powrócił stan równowagi i poczucie dobrze przepracowanego okresu. Jest nam bardzo miło, że album został ciepło przyjęty, także przez recenzentów, którzy zjechali pierwszy album. „Corrida” pokazuje, że kręci nas granie także innych klimatów niż typowy punk rock, czego dowodem jest między innymi duet z Duże Pe. Hip-hop, podobnie jak punk rock, ma silny przekaz, więc można to razem zestawić. Pierwszy raz miałem okazję pracować z tak świadomym artystą hip-hopowym – Duże Pe strzelał swoim wokalem niczym kałasznikowem! Jeśli chodzi o teksty i formę, druga płyta nie jest już tak ostra w słownictwie, ale nadal ma wyraźny przekaz i wciąż wiele do powiedzenia – „Pokój chatom, wojna pałacom” – nietrudno się domyślić o czym jest utwór, którego tytuł jest anarchistycznym hasłem. „Antypiosenka” mówi o buntowaniu się przeciwko wszystkiemu, co jest czasem głupie, ale ma też swój sens, bo nie przytakujemy cudzym poglądom serwowanym nam przez media i określone linie programowe. „Więcej” to słowo klucz – ludzie powinni się gdzieś zatrzymać. „Bez kontroli” to piosenka zainspirowana podróżą Ługiego z żoną po Stanach Zjednoczonych. „Tylko na tyle cię stać” to z kolei utwór antyrasistowski. Swego czasu zaprzyjaźniłem się z Marcinem Kornakiem, prezesem Stowarzyszenia „Nigdy Więcej”. Marcina już nie ma z nami, ale ten numer zadedykowany jest właśnie jemu.

Chciałbym Cię jeszcze zapytać o okładkę – te ucięte środkowe palce.

To dzieło Moniki Prus. Można się zastanawiać, czy wciąż pró-

JEŚLI DOBRZE NADSTAWISZ UCHA, TO SPOŚRÓD POLSKICH KAPEL, A ZWŁASZCZA ROCKOWEGO 'TOPU', BEZ TRUDU WYŁAPIESZ KTO GRA Z SERCA, A KTO Z WYRACHOWANIEM PRODUKUJE 'HITY'

bujemy kontestować wszystko i wszystkich, ale to jest niemożliwe, bo na każdym kroku ktoś chce nam te „faki” podcinać. Czy może Skowyt „się sprzedał” i sami sobie podcinaliśmy te palce.

Również wewnątrz płyta jest bogato ilustrowana, co obecnie zdarza się raczej rzadko.

Znajdź kapelę, która wydaje 40-stronicową książeczkę. Trzeba było znaleźć cieńszy papier, żeby to wszystko się zmieściło. (śmiech) W zespole jesteśmy przyzwyczajeni do lat 90. kiedy podczas słuchania płyty również oglądało się wypasione wkładki, czytało się teksty do ostatniej literki! Wiemy, że rynek płytowy pada na pysk, ale dla było ważne wydanie płyty w innej formie niż ekonomiczny digipack. Sprzeciwiamy się wizerującej zewsząd polskiej „Tandecie”. Robimy, to wszystko, bo chcemy pozostawić po sobie wyraźny ślad.

To na swój sposób oddaje ducha Skowytu.

Jesteśmy barwnym zespołem – mamy w paru miejscach zakaz wjazdu, niektóre środowiska nas nie znoszą, ale dzięki temu nie jest nudno. Nie wszyscy muszą to lubić, a zwłaszcza producenci i realizatorzy koncertów, którzy oduczuli się, że koncert rockowy to żywa forma. Dla nich najlepiej byłoby wszystko spisać, a potem odtworzyć ustawienia podczas koncertu. U nas to niemożliwe, bo na naszych koncertach dzieje się masa zaskakujących rzeczy.

A jak w końcu jest z tym punkiem – umarł czy żyje?

Ja cały czas się uczę punk rocka, wciąż mam przed sobą masę rzeczy do odkrycia – starych i nowych, więc dla mnie punk nigdy nie umarł. Samo hasło „Punk is dead” ukuli ludzie, którzy robią interesy na zabijaniu i ożywianiu gatunków. Na polskim rynku jest sporo młodych, świetnie zapowiadających się kapel punkowych (np. Pull The Wire), ale ton wciąż nadają kapele sprzed lat – niektóre świetnie radzą sobie w nowej rzeczywistości nagrywając kolejne płyty, jak chociażby Dezerter. Idealnym przykładem jest też etno-punkowa R.U.T.A. – projekt złożony z ludzi z Moskwy, Dezertera i Kapeli ze wsi Warszawa grających na archaicznych instrumentach i wykorzystujących teksty źródłowe sprzed kilku wieków,

o zniewalaniu i ciemieniu chłopów przez panów - co jest moim zdaniem mega punkowe. Do punka nie można podchodzić w komercyjny sposób – publiczność punk rockowa swoje wie i nie da się jej oszukać. A agrafki, stojące pióropusze i glany na koncertach wciąż są w modzie – czyli wszystko jest ok.

Czego ostatnio słuchałeś?

Z polskich kapel Inkwizycji – płyty „Wojny nie będzie”. Mocna muzyka, mocne teksty, ogólnie mocna piącha w twarz! Z zagranicznych nowe Faith No More, bo bardzo lubię twórczość Mike’a Pattona. Coraz częściej wracam do lat 90, 80, 70. i klimatów Seattle, Sex Pistols, The Clash. Zdecydowanie szukam emocji, których dziś brakuje.

Jakie jest Twoje podejście do ćwiczenia i kwestii warsztatowych?

Może nie powinienem tego mówić w wywiadzie dla „Gitarzysty”, ale jeśli chodzi o umiejętności gitarowe według mnie trzeba umieć tyle, ile chce się powiedzieć. Jeżeli ktoś chce się komunikować z Anglikami, to musi nauczyć się angielskiego. Na zmywaku wystarczy umieć kilka słów i parę zdań, ale jeśli ma się ambicję na pracę w City, trzeba tym językiem naprawdę dobrze władać: słownictwo, pisownia, akcent. Z gitarą jest podobnie. Jeżeli ktoś ma dużo do powiedzenia, musi mieć technikę w małym paluszku. Jeżeli natomiast ktoś ma do powiedzenia znacznie mniej wystarczy to odpowiednio ubrać w dźwięki – mocno rąbnąć w struny grając dwa akordy zamiast kaskady stu dźwięków. W Ramones czy Sex Pistols nie ma żadnych skomplikowanych rzeczy. Jest prosto, czasem bezczelnie, czasem obrazoburczo. Umiejętność zagrania „Lotu trzmiela” nic w tej konwencji nie dodaje. To nie znaczy, że wypięłem się na dźwięki i warsztat. Jeśli coś ćwiczę to robię to świadomie, a nie po to, żeby przyczepić sobie kolejną odznakę sprawności skauta.

W utworze „Pokój chatom, wojna pałacom” jedną z partii nagrał młody gitarzysta Jakub Klimiuk – jak trafił na waszą sesję?

Ogłosiliśmy konkurs na zagranie tego fragmentu. Dostaliśmy kilkadziesiąt zgłoszeń



video, spośród których niemal jednogłośnie wybraliśmy właśnie jego. Kuba ma 15 lat, pochodzi z Hajnówki. Wiem, że gdybym był na jego miejscu, to wszystko byłoby jak wielka przygoda: pierwszy kontakt z profesjonalnym studiem nagrań, pierwsza sesja, rozmowa z muzykami. Kuba naprawdę jest zdolnym gitarzystą i bez najmniejszych problemów poradził sobie z nagraniem swojej partii. Pomysł na konkurs wziął się stąd, że my sami również doświadczyliśmy pomocy ze strony różnych ludzi. Ja wewnętrznie odczuwam olbrzymi dług wdzięczności wobec wielu osób, które przez lata zawsze były dla mnie cierpliwie i nigdy nie odmówiły pomocy. Karma musi być zwrócona – zwłaszcza dobra.

Co powiedziałbyś młodemu człowiekowi, który łapie gitarę i chce być rebeliantem?

Grać i nie bać się! Powiedziałbym: bądź rebeliantem, nie

oglądaj się na nic i graj to, co uważasz. Nawet jeśli zerwiesz pięć strun i zostanie ci jedna (oby basowa – śmiech), wtedy trzeba napierdalać ostro na tej basowej i wymyślić taki riff, żeby ludzi chwycić za gardła! Nie warto się oglądać na rynek i innych, bo ci „mądrzejsi” zawsze powiedzą, żeby coś zrobić inaczej i „lepiej” (choć nie warto być totalnym ignorantem). Młodzi ludzie nie powinni szukać kto jest najszybszy, najlepszy, kto ma najfajniejszy sprzęt, tylko wzajemnie wspierać się, szukać szczerości i przyjaźni, i dopiero w takiej atmosferze tworzyć muzykę. Tylko prawda ma szansę zostać zapamiętana przez słuchaczy. Wiele dźwięków żyje z nami do śmierci, więc jeśli gramy, dajmy ludziom to, co mamy najlepszego. No i proponuję upraszczać granie. Mam nadzieję, że niedługo pojawią się nowe zespoły, które będą używać jeszcze prostszych środków wyrazu, a to będzie tak celne, że będziemy się dziwić, że ktoś wcześniej na to nie wpadł. ♪



SPRZĘTOLOGIA

- **Gitary:** Washburn N2, Fender Stratocaster American Special
- **Wzmacniacz:** Marshall JCM900 (100W Hi Gain Dual Reverb)
- **Efekty:** Boss Noise Suppressor NS-2, Digitech Whammy 5, Jean Paul Electronics Natural Compressor, Jean Paul Electronics Booster, Boss Chromatic Tuner TU-2
- **Inne:** Struny D'Addario EXL110 (Washburn), Elixir NanoWeb 009-046 (Fender)